

PRZEGLĄD TEATRALNY.

„*Ja czyli Samoluby*” komedia w 3 aktach pp. Labiche i Martin.

Samoluby to temat bogaty dla komedyj. Tylu jest samolubów i pod tak różnemi postaciami, z tak rozlicznemi odcieniami, — tyle egoizmu w najbliższych rodzinnych stosunkach, że temat sam się niemal nastrecał. Wzięli więc go przed się pp. Labiche et Compagnie i obrobili po swojemu. W takim obrobieniu, nieszukać jednolitości, jedności i sprężystości organicznej, przepalającej myśl u własnego ogniska.

Wszystko zależy tu na rutynistycznej zručności, która trafną nawet myśl tendencyjną rozprowadzi rozsądnie, ale bez poetycznej wyższości, bez siły indywidualnej, jędrnej i świadomej celu do którego zmierza.

Rzecz się po prostu tak odbywa. Zeszli się panowie Labiche i Martin i nuże gawęda. Z gawędy zaproponowali sobie zrobić coś *pożytecznego*, ot na przykład komedya. Jeden powiada: ja mam myśl, drugi: a ja charakter, tamten: a ja dwa, ten: a ja sens moralny. Zgoda, o cóż więc chodzi? Pisz ty akt pierwszy, ja drugi, a treść przetnijmy na równe części i weźmy po połowie. Ty masz dowcipu więcej; ja zdolności architektonicznej — ja ułożę sceny, ty okraś i podsól niektóre ustępy. Sztuka sporządzona według tych przepisów wychodzi gotowa, zaprawna, nie razi nikogo niedołęztwem, owszém tu i owdzie wzbudza uznanie, ale też nikogo głębiej nie zastanawia. Można ją widzieć raz na scenie zwłaszcza, a raczej przedewszystkiem doskonale graną, a potem „pierś nie tęskni już do nieznanego ideału.”

Wykazuje ona chorobę społeczno-moralną, ale nie daje na nią idealnego nawet lekarstwa. Wszystkie figury tej komedyi są mniejszemi lub większemi samolubami, z wyjątkiem może młodego Armanda, który także chętnie się pozbywa ukochanej od lat dziecięcych, bo się przekonał o jej nicości i doznał srogiego zawodu. Temat samolubstwa, ażeby wywarł silne wrażenie w utworze dramatycznym, potrzebuje wydatnego i zdrowego kontrastu, energicznego przykładu, że szczęście innych, zacniejszych, nie samolubnych dróg

sobie szuka. Potrzebaby przekonać żywotnym przykładem widza, iż człowiek żyjący nie w żółwiej skorupie, nie dla samego siebie, ale dla ludzi, dla pracy pożytecznej ogółowi, szczęśliwym się czuje ze samego już czynu, ze samego przeświadczenia wagi jego i donosności moralnej. Wtedy to egoizm wychodzi ohydnie i śmiesznie, wzbudza wstręt i zachęca do miłości bliźniego. Lecz w rzeczonęj komedyi egoistom dzieje się wybornie, a choć doznają maleńkich zawodów, jednak tego nie czują, nie reflektują się nad nędzą swą moralną;—przeciwnie pan Dutrècy kończy sztukę wykrzyknikiem: „jacy to ludzie egoiści!” Sam więc nie poznaje się na sobie, a raczej powiedzmy prawdę, poznać się nie chce. Wpływ sceny wtedy tylko jest rzeczywistym i trwałym, gdy autor nie sadząc nudnym morałem, rozjaśnia charaktery, wprowadza kolizye, rysuje realnie ale z tym duchowym zakrojem, iż refleksya głęboko-życiowa, zdrowa i moralna sama się na myśl nasuwa.

Tutaj tego niema wcale. Panu Dutrècy nie udaje się wprawdzie małżeństwo z ładną siostrzenicą, nie może on ustalić się na łonie rodziny któraby go pielegnowała, i przyjaciel jego a raczej towarzysz także go opuszcza, i dawny sługa także, ale czyż on się czuje tén znękany? Broń Boże, owszem z pewną ulgą filozoficzną powiada: „Wszyscy są egoiści!” W tén orzeczeniu jest pociecha, a zarazem uznanie samego siebie jako wyższego. A pan de la Porcheraię egoista cyniczny, otwarty, kochający tylko siebie i swoje wygodę? Tak samo nie uczuwa ohydy swego sobkostwa ani smutku, gdy mu żywot zatruwa pierwsza napotkana przeszkoda, ale z zimną krwią zabiera manatki i jedzie do Ameryki, ażeby tam znowu etablować swój komfort i swój spokój. Nie wymagamy od utworu scenicznego, ażeby w przedziale między jednym aktem a drugim przetworzył zbrodniarzy na apostołów, ale autor satyryczny jakim być powinien komedyopisarz, ma wyższe zadanie od prostego rozśmieszenia, więc powinien był wywołać refleksyą poważną, wynikającą ze starcia się charakterów.

Ze względu roboty, sztukę tę nazwać można obrazkiem a nie komedją w potężném tego słowa znaczeniu. Dwa najgłówniejsze charaktery; pan Dutrècy i pan de la Porcheraię w pierwszym zaraz akcie odsłaniają się jawnie czém są, to jest pierwszy egoista—obłudnikiem, podszywającym się pod piękne słówka ażeby zakryć obrzydłe jak sztydło z woru wylażące *Ja*, drugi wypowiada szczerze że to tylko robi co mu sprawia przyjemność, a na nikogo oglądać się nie myśli. Dalsze więc akty, tembardziej że intryga bardzo słabo jest zawiązana i nie wiele ciekawą, rozwijają tylko charaktery jasno i zgóry nakreślone tych dwóch samolubów. Wszyscy inni służą im za akcesorya mniej lub więcej ubarwione i zabawne.

Przypatrzmy się treści. Pan Dutrècy bogaty kapitalista, stary kawaler, żyje jak sybaryta nie pojmując innych obowiązków prócz dotyczących się własnego zdrowia i wygodę. Związany zażyłością a raczej poodobienstwem brzydoty moralnej z p. de la Porche-

raie, nie troszczyłby się o świat cały, gdyby go nie poproszono o rękę siostrzenicy Teressy bawiącej jeszcze w pensyonacie. Tu pierwsza niewyгода. Potrzeba aż do dnia ślubu trzymać ją u siebie i pilnować. Ale sprytna Teressa, dziecię wieku, egoistka *sui generis*, tak się umie przypochlebiać wujaszskowi, tak wnikać w jego gusta i smak, że stary kawaler nagle czuje się zachwycony jęj pięknoscia i knuje plany połączenia się z nią węzłem ślubu. Atoli przeszkadza mu w tém kuzyn Armand przybyły z dalekiej Ameryki i młody Fromentin który się właśnie oświadczył o Teresę. Podżęgnięty, pomyślawszy że taka żona jak Teressa otoczy go najczulszą pielęgnacyą, gmatwa obydwóch tak dalece, że Fromentin wyrzeka się ręki Teressy. Byłby się z nią jeszcze sam ożenił, gdyby nie doktor Fournicier który mszcząc się na nim za podstępny zamiar oszukania go w kupnie domu, nie był mu zdradliwie podżęgnął, iż Teressa defektowną jest i chorą do tego stopnia iż ją trzeba będzie całe życie pielęgnować. Odstrasza to samoluba, pragnącego żony dla własnej wygody a nie troski i kłopotu w domu. Pozwala więc nanowo zenić się Fromentinowi, dla którego Armand nie jest już rywalem, bo się rozczarował a zakochał w kim innym.

Nie myślimy szkicować tu pojedynczych charakterów jako: pana de la Porcheraie, Fromentina młodzieńca pełnego zapału i szlachetności, takiegoż Armanda, pensyonarki Teressy, i samoluba lokaja bretończyka rządzącego się temi samemi maksymami co pan jego. Wszyscy inni przesuwają się jak w kalejdoskopie obok dwóch głównych, powyżej wskazanych figur.

Dowcip którego tu nie brak, zręczna scenerya, dość żywe dyalogi stwarzają udatną całość, której wysłuchać można; lubo akt pierwszy całkiem niepotrzebny, a przynajmniej dałby się zastąpić jedną lub dwoma scenami.

Role rozegrali między siebie pp. Żółkowski (Dutręcy), Rychter (de la Porcheraie), Sawicki (Dr. Pourcinier), Swieszewski (Armand), Ostrowski (stary Fromentin), Kwiecieński (młody Fromentin), panie: Ostrowska (Teressa) i siostra Fromentina (Niewiarowska).

Pan Żółkowski przedstawił pana Dutręcy jako człowieka wyrafinowanego komfortu, słodkiego *far niente*, eleganckich i przyzwitych a do niczego nie obowiązujących manier. Pieszczotliwie mówi, ale czuć że chłód wieje od niego. Pojawszy doskonałe charakter, odegrał go z właściwą sobie umiętnością, lecz zbyt usilne i pracowite wystudyowanie nie pozwoliło urozmaicić roli która się do tego nadawała. Najmniejszy gest, zwrot, siadanie na fotelu i zaproszenie do siedzenia, wykonane było z ogromną precyzją, ale właśnie dlatego stawało się czasem monotonnem, przewlekając akcyą a więc i oziębiając wrażenie. jakie w komedyi przedewszystkiem na pośpiechu zawisło.

Pan Rychter wziął pana de la Porcheraie za demonicznie, za mizantropijnie, lubo przyznać mu trzeba że wychodząc z takiego pojęcia grał znakomicie, cieniuąc najlżejszy szczegół, uwydatnia-

jąc każdy rys owego silnie narysowanego charakteru. Kto wie, czy taki cyniczny samolub, mający odwagę pogardy wielkiego sentymentu, nie lepijby się ujawnił, grany energicznie a weselę, wychodząc z zasady epikurejczyka stanowczę, biorącę to życie wesoło, tak jak się nastęcza. Nie chcemy przeto narzucać odrębnego pojęcia artysty, który stosować się musi do swego indywidualizmu, témbardziej gdy Porcheraie wyszedł w grze pana Rychtera w jaskrawych, ostrych konturach, tak jak sobie tego życzył autor ostatecznie. Zawsze rola ta w repertuarze tego bardzo dobrego artysty, pozostanie jedną z lepszych.

Pan Sawicki jak zawsze tak i teraz, z niewielkię swęj roli umiał wydobyć wszystko co się tylko dało na ję korzyść i ozdobę. Umiał zainteresować podrzędną w sztuce swą rolą, a umiejętność tę dyktuje mu natura, którę pan Sawicki gorliwym jest kapłanem, i potężna praca którą innym za przykład świetny stanęby mogła.

Pani Ostrowska, pożyteczna artystka i przyjemna w rodzaju ról do którých przywykła, w roli Teressy lubo granęj bardzo starannie, nie czuła się swobodną. I nie mogło tęż być inaczej. Teressa musi być naiwną od początku do końca, a szczególnię w scenie, gdy Armandowi rani boleśnie serce szydzeniem naiwnem z dawnych wspomnień. Tymczasem ta scena jedna z lepszych w sztuce, przemienęła najniepostrzeżenię, bez żadnego efektu dlatego, bo fizyognomia i sposób dotychczasowy grania p. Ostrowskię, wręcz temu charakterowi się sprzeciwia. Łatwię się wydoskonalić w każdym innym rodzaju, aniżeli w naiwności, którą musi płynąć z naturalnego usposobienia. Nie bierzemy za złe artystce tęg roli, bo ją uważamy za gotowość wyręczenia koleżanki w danym razie, i za dowód chętnę a usilnę pracy.

Co się tyczy pana Kwiecińskiego, ośmielamy się wyrazić tęg niepłonną nadzieję, że przy *długię* a mozolnę i wytrwałę pracy, młodziutki ten artysta wyrobić się może w rolach amantów.

E. Lubowski.

